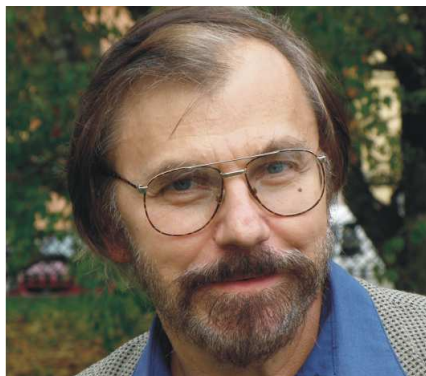


Listy do Pani A. (66)



Z optymizmem na przednówku

Przyszedł rok 2014. Sto lat minęło od wybuchu pierwszej wojny światowej. Kiedy miałem dwadzieścia lat, urodzeni w 1914 roku w większości żyli i wcale nie wydawali mi się starzy. Nawet ci urodzeni jeszcze w XIX wieku byli całkiem aktywnymi ludźmi. A ja – choć dalej mam poczucie, że przemijanie mnie nie dotyczy – co jakiś czas uświadamiam sobie, że upłynęły ziemskie terminy tych ludzi, których znałem, z którymi się przyjaźniłem, jak na przykład z Janem Dobraczyńskim. Kiedy go poznałem miał sześćdziesiąt cztery lata. A dziś nie ma już nikogo „stamtąd”, znikł też ich świat, a poniekąd i mój.

Odszedł niedawno Rysiek Danecki, z którym spotykaliśmy się w Poznaniu. Kilka lat z rządu urządzaliśmy swoistą panichidę za Tacka Cugowa. Piliśmy zdrowie Tadzia, a „jego” kieliszek stał napełniony wódką aż do końca naszej biesiady.

Huk i fajerwerki sylwestrowe stale mi przypominają, że każdy nadchodzący rok jednak niesie w sobie jakiś element destrukcyjny. Z jednej strony cieszę się, że nadszedł. To taka nadzieja naiwna, że coś się zmieni na lepsze, przyjdą jakieś nowe szanse, otworzą się inne możliwości. Jakbyśmy porzucali stary bagaż, bardzo dobrze nam znany, i w pewnym sensie oczyszczeni podejmowali nowy, pełen optymistycznych tajemnic. A z drugiej napawa mnie smutkiem to, że oddalam się od dzieciństwa, czasów studenckich; że coś się bezpowrotnie zmienia. Pani tego nie odczuwa? Jest Pani zbyt młoda. Ja też się nie czuję staro, ale nie mogę się oprzeć podobnym refleksjom, choć przecież cieszę się życiem, mam charakter zabawowy i jestem raczej pogodnym człowiekiem.

Mam wrażenie, że Pani bywa na niektórych spotkaniach poetyckich, organizowanych przeze mnie w „Bibelotach”. Skoro udały się poprzednie, to i następne – mam nadzieję – będą równie udane. Staram się zawsze zaprosić autora ciekawego. Nie zważam na przynależność związkową czy pokoleniową. Była Irena Tetlak, bardzo ciekawa poetka, prezentowała debiutancki tomik „Lilak”. Debiut obiecujący, odznaczający się kulturą literacką. Spotkanie z Ireną cieszyło się wielkim zainteresowaniem, wywiązała się ciekawa dyskusja o poezji, polskim języku, sytuacji kultury. Wykroczyła daleko poza obszar jednostkowej poezji. Trwało długo, kupowano tomiki, wszyscy byli zadowoleni.

Odmienną osobowością twórcy jest Jan Stanisław Kiczor, który udowodnił swoimi trzema tomikami, że poezja rymowana, sylabotoniczna, bardzo starannie skonstruowana, może być nośna

dla treści współczesnych. Staje się zaprzeczeniem młodoliterackiej sztampy, niechlujstwa językowego, powierzchowności. Poezja w wierszu jest, albo jej nie ma. To nie zależy od formy, ale od talentu autora. Ale na stu piszących, ilu może mieć prawdziwy talent?

Czasami predyspozycje artystyczne idą dwutorowo. Mam na myśli Dariusza Bereskiego, aktora, mistrza mowy polskiej w 2012 roku, i zarazem poetę. Zaprosiłem go, bo to artysta ciekawy, poza tym chciałem zrobić niespodziankę paniom, aby zachwyciły się głosem i aparycją Darka. Nie znaczy to, że wątpię w siłę jego poezji. Absolutnie tak nie jest. Ale poezja jest... trudniejsza. Bo też wiersze Bereskiego nie należą do łatwych, odznaczają się refleksją filozoficzną, poszukują pierwotnego sensu rzeczywistości, są wyzwaniem rzuconym coraz bardziej pochłaniającemu nas bezsensowi. Jest to wędrowka wyobraźni poza czas. Tworzy swoistą „rzeczywistość słowa”, a nie tylko za jego pomocą kreuje swój świat przedstawiony. Nie wiem, czy Pani była na tym spotkaniu. Mam jednak wrażenie, że często bywa Pani w „Bibelotach”, bo i osobliwy klimat tego miejsca bardzo do Pani pasuje.

Na szczęście nie jest to jedyne miejsce poezji przesycone. Weźmy Klub Księgarza. Działa on dzięki Janowi Rodzeniowi, długoletniemu szefowi tego miejsca. Janek jest postacią ogólnie znaną w środowisku literackim, lubianą, szanowaną. To on sprawił, że do tej pory Klub Księgarza nie został zlikwidowany, jak wiele podobnych placówek w Warszawie, i nie tylko. Jednym z najlepszych spotkań była promocja tomu wierszy Marka Wawrzkiwicza „15 listów”. Poprzednio ukazał się tom „12 listów”, a teraz, po kilku latach, Marek dopisał trzy. Niezwykła oficyna szczecińska, własność także znakomitego poety Cezarego Sikorskiego, Zaulek Wydawniczy Pomyłka, ten tom Marka wydała niezwykle starannie. Powstał z tego album poetycki z ilustracjami Mateusza Osajdy, wzbogacony o reprodukcje obrazów Krzysztofa Rapsy. Świetna książka nie tylko od strony poetycko-edytorskiej, ale też znakomicie nadająca się na upominek. Rzadko się to zdarza w dzisiejszych, dosyć kiepskich dla książki warunkach. Ale są jeszcze ludzie, którym zależy na literaturze i na sztuce. To bardzo krzepiące, daje nadzieję, że może nadchodzący rok nie ze wszystkim będzie marny.

Nigdy nie można przewidzieć niczego do końca. Kiedy wróciłem w końcu sierpnia ze Strugi, cieszyłem się, że już nie mam w perspektywie żadnego lotu. Tymczasem w końcu listopada wynika podróż do Londynu w ramach dalszego ciągu Festiwalu Poezji Słowiańskiej. Bez przesiadki, w towarzystwie Basi i Aleksandra Nawrockich, Benedykta Kozieła z Połańca i jego żony, a więc podróż przyjemna i bez stresu. Potem dojechał Juliusz Erazm Bolek i jeszcze kilka innych osób. Pięć dni upłynęło szybko. Poznałem bardzo miłych, sympatycznych ludzi – Aleksego Wróbla, Janusza Guttnera, państwa Mickiewiczów, wielu polskich poetów zamieszkałych w Anglii, spotkałem poetów z Wilna – Apolonię Skakowską, Aleksandra Sokółkowskiego, młodą Marzenę Mackojć. Janusz nas woził samochodem. Odebrał z lotniska w Luton, a ostatniego dnia odwiózł do Luton na wieczorny samolot do Warszawy. Aleks oprowadzał nas po Londynie. Była to dla mnie bardzo ciekawa wycieczka, bo byłem tam pierwszy raz. Można jednak jeździć do Londynu kilka razy, i w ogóle nie znać miasta. Przecież od krańca do krańca jest około 80 km. Wyobraźmy sobie, że Warszawa sięga aż po Radom!

Na zakończenie zorganizowano benefis Aleksandra Nawrockiego. Świąciliśmy przy okazji 100.

numer „Poezji Dzisiaj”. Był wspaniały tort. To pierwszy festiwal poetycki, na którym byłem, tak uroczyście, świetnie zorganizowany, w dodatku zakończony tym doskonałym tortem. Jednak najważniejsze w tym wszystkim były kontakty. Podjął nas ambasador Rzeczypospolitej Polskiej. Poznałem przemiłą panią dyrektor Polskiego Instytutu Kultury, Magdalenę Grabianowską. Mieliśmy sesję literacką w Muzeum Sikorskiego połączoną ze zwiedzaniem, koncerty w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym. Program był ciekawy, czas wypełniony do ostatnich granic. I znowu miałem nieodparte wrażenie, że Pani także towarzyszyła naszemu festiwalowi.

Aż szkoda było wracać. Przy starcie mam zawsze trochę emocji, podczas lotu też, zwłaszcza gdy samolot się pochyla, i przy lądowaniu, kiedy zbliża się do ziemi. Jest to jednak taki dosyć przyjemny dreszczyk. Myślę wtedy, że Pani jest tuż obok i całą siłą woli utrzymuje lot na właściwym kursie. Rozsmakowałem się też w atmosferze portów lotniczych. To wszystko jednak stymuluje samo podeksytowanie napowietrzną podróżą. W pewnym momencie przestaję myśleć o ewentualnych niebezpieczeństwach. Ale kiedy samolot startuje i zakręca, to jednak dawka adrenaliny daje o sobie znać. Dla pilotów, stewardes, dla szybowników jest to śmieszne. Ale ja jestem zwierzę lądowe.

Mówią, że samolot jest najbezpieczniejszy. Może tak. Ale kiedy się zepsuje w powietrzu, to najczęściej nie ma ratunku. Samochód może się psuć i nic się nie dzieje, dopóki nie dojdzie do wypadku. Miałem pewnej soboty pojechać na Woronicza, aby poprowadzić tam warsztaty. Wychodzę, wsiałam do auta, a szmęć nie chce odpaść, choć dwa dni wcześniej jeździł idealnie. Akurat był na parkingu sąsiad, który jechał w tym samym kierunku, więc mnie podwiózł. Gdyby samochód zepsuł się po drodze, to bym go zepchnął na bok, ale bym się nie rozbił.

Choćaż co komu sążzone...

Kiedy jednak się ma dziewięćdziesiąty siódmy rok życia, to już wiadomo, że zbliżamy się do końca. Właśnie zmarła w tak zaawansowanym wieku moja ciotka Hanna Schupp. Do końca sprawna intelektualnie, a także fizycznie, uroczą osobą, przedstawicielką świata przedwojennego, który już przemija. Zawsze gotowa do pomocy, altruistyczna, lubiąca ludzi. Należała do dwóch światów: międzywojennego, ziemiańskiego, i powojennego, którego nie mogła w pełni zaakceptować, ale znalazła w nim swoje miejsce, pracowała, zajmowała kierownicze stanowiska, mimo że nigdy nie należała do partii. Wszyscy ją lubili i niezmiernie cenili.

W ogóle zbyt dużo pogrzebów. Nie żyje też pani Zofia z Czartoryskich Lichniakowa, żona Zygmunta. Bardzo ją lubiłem. Już dziś takich osób się nie spotyka, z podobną wrażliwością, kulturą, delikatnością. Czuję, że wraz z nimi odchodzi do grobu jakaś część mojego świata. Ciocia Hania twierdziła, że jestem jej łącznikiem z dawnymi i dzisiejszymi czasami. Coś w tym jest. Choć nie pamiętam czasów przedwojennych, to są mi one niekiedy bliższe niż otaczająca mnie współczesność. Czy Pani mnie rozumie?

Na takie smutne refleksje znowu mi się zebrało, choć przecież należy wierzyć, że ten rok będzie dobry, przyniesie nam realizację naszych marzeń, tych wielkich i tych najmniejszych. Spełnienia ich oraz optymizmu (którego wbrew pozorom jest we mnie dużo) życzę Pani w całej rozciągłości i pozdrawiam serdecznie –

STEFAN JURKOWSKI